

# Pierścień narzeczonego.

Romans kryminalny ze wspomnień detektywa przez  
Gastona René.

2

Ciąg dalszy.

— Nie — odpowiedział Brepont. — Ja sam przypuszczałem, że to książę w tej szkatułce przysłał jakieś okrycie.

— Jaką liczbę miał posłaniec, który przyniósł tę szkatułkę?

— Numer 26 — odpowiedział baron.

Pisarz sądowy zapisał te odpowiedzi do protokołu.

— Chcielibyśmy teraz naocznie ujrzeć ten dziwny ślubny podarunek — rzekł szef i dodał — Gdzie znajduje się ta kasetka? Czy pan przypadkiem nie kazał ręki i szkatułki wynieść z tego pokoju, w którym ją otworzono?

— Nie, panie szefie — odpowiedział Brepont. — Tak ręka, jak i szkatułka, leżały zupełnie tak, jak w tej chwili, kiedy zrobiła córka to straszne odkrycie!

Szef popatrzył znacząco na lekarza i wszyscy udali się na górę. Nikt nie wyrzekł ni słowa, bo rzeczywiście trzeba tu było wykryć straszną i tajemniczą zbrodnię. Gdy stanęli na górnym korytarzu, odezwał się baron:

— Moja biedna córka leży nieprzytomna, co poświadczyć może u niej się znajdujący lekarz. Możecie sobie panowie wyobrazić, jak straszne wrażenie zrobiła na niej zawartość szkatułki.

Szef skinął milcząco głową, bo już z góry wiedział, że przesłuchanie baronówny będzie niemożliwe.

Służący otworzył drzwi przedpokoju, do którego dotykał buduar baronówny Leontyny. Drzwi do niego stały wpół otwarte. Na podłodze, pokrytej blado-niebieskim dywanem, leżało przewrócone krzesło, to samo, na które padł baron wtedy, gdy córka otworzyła szkatułkę.

Drugie drzwi prowadziły do sypialni Leontyny, złożonej ciężką chorobą. Te drzwi nie były zamknięte.

— Ciszej, panowie, jeśli mogę prosić! — mówił baron i wskazał na wchód do sypialni. — Właśnie jest u niej lekarz.

Buduar był jasno oświetlony, tak, że każdy przedmiot odbijał ostro od błękitnego obicia. Delikatna woń perfum unosiła się w powietrzu, a setki kosztownych drobiazgów kazały się domyślać, jak bardzo kochał baron swą córkę. Tem okropniej uderzał oczy przedmiot, leżący na środku mahoniowego stolika, stojącego na środku buduaru. Na ziemi leżał nieszczęsny list, a obok niego koperta. Wieczko czarnej szkatułki było jeszcze wciąż otwarte; tylko owinięta jedwabiem ręka leżała w niej, zresztą zdawała się być całkiem pustą. Kawałek białego jedwabiu zwieszał się aż przez krawędź stołu. On to otaczał rękę z wierzchu. Nieszczęsna ręka była prócz tego owinięta ciemnoczerwonym jedwabiem, prawdopodobnie dlatego, by nie można było od razu poznać krwi. Ręka leżała wyprostowana na ciemno-czerwonym podkładzie. Nie była ona ani kurczowo ściśnięta, ani nie było na niej śladów podrapań, ani skaleczeń, tylko w przebiegu widniało pewne cięcie, zadane ostrym narzędziem. Palce były nieskazitelnie białe i nie można było znaleźć na nich kropelki krwi. Wyglądała ona jak ulepiona z wosku, podobna do tych, jakie można często spotkać w oknach fryzjerów.

— Panie baronie — zaczął szef policyi po dość długim milczeniu — czy nie się od tej chwili tutaj nie zmieniło, odkąd pan ten pokój opuścił? Proszę oglądnąć szkatułkę i rękę.

Tylko z najwyższym wysiłkiem zdołał baron wypełnić ten rozkaz. Następnie potrząsł głową. Nikt nie odważył się wejść tutaj, odkąd dowiedziała się służba, co zawiera ta czarna szkatułka.

Na to oświadczenie zwrócił się szef do lekarza i rzekł:

— Zbadaj pan tę rękę, panie konsyliarzu; będzie to bardzo ważnym czynnikiem przy dalszym śledztwie, jeżeli będzie stwierdzonem, czy rękę odcięto za życia, czy już po zgonie.

Podczas, gdy lekarz milcząco zabrał się do badania, dawał szef półgłosem wskazówki jednemu z komisarzy.

Ten natychmiast opuścił pokój, by zgromadzić służbę. Baron de Brepont stał śmiertelnie błądy w pobliżu stolika i patrzył, jak lekarz spokojnie podniósł i obracał martwą rękę, oglądając ją jak najobojętniejszy w świecie przedmiot. Wyjął przytem kilka narzędzi z kieszeni i usiadł wygodnie na stołku, który przysunął sobie do stołu. Po pięciu

minutach ukończył swe badanie, wstał, wzruszył ramionami i rzekł:

— W ręce tej niema ani kropli krwi i nie można dlatego twierdzić na pewno, czy odcięto ją żyjącemu, czy trupowi. Przypuszczać jednak mogę zupełnie pewnie, że ten, który tę rękę utracił, przeniósł się na łono Abrahama, bo gdyby było inaczej, to wówczas palce byłyby zgięte i złoczyńcy nie byłiby w stanie nadać jej tak spokojnego położenia. Nadto kilka cech wskazuje na to, że ręka musiała leżeć w wodzie; szczególnie można to poznać pod paznokciami. Lecz ponieważ te oznaki są bardzo słabe, przeto nie można z nich wyciągać pewnych wniosków.

Szef kazał oświadczenie lekarza wpisać również do protokołu.

— Panie baronie — zwrócił się znowu do Brepont'a — czy zna pan ten pierścień?

— On należał do księcia de Bligny — odpowiedział baron.

— Czy jesteś pan tego pewny i czy pomyłka jest pod każdym względem wykluczona?

— Niestety; jestem tego zaledwie dobrze pewny! Och, me biedne dziecię poznało go natychmiast. Podziwialiśmy go jeszcze wczoraj podczas kolacji. I to oświadczenie barona zaprotokołowano.

— Jeszcze kilka pytań, panie baronie — rzekł szef. — Proszę mi darować, gdybym był trochę niedyskretny, lecz tylko groza tej zbrodni zmusza mnie do tego. Czy zna pan prywatne stosunki księcia?

— Tylko tak dalece, o ile poznałem księcia, jako człowieka nieposzlakowanej czystości charakteru! Książę, jak panu może pewnie wiadomo, stracił już dawno rodziców i po ich śmierci przeniósł się do Paryża. Odbił następnie dalekie podróże i dopiero niedawno powrócił tutaj. Nie mogę nic takiego podać, co by mogło, choć w najmniejszej mierze, przyczynić się do wykrycia tego tajemniczego morderstwa.

Szef patrzył chwilę przed siebie, namysławiając się, potem rzekł:

— Czy pan posłał już do księcia dowiedzieć się, czy on istotnie zginął bez śladu?

Baron zakłopotał się nagle.

— Nie, panie dyrektorze — wykszusił i nie mógł sam sobie zdać sprawy z tego, dlaczego tego nie uczynił. — Miałem właśnie zamiar wysłać do niego służącego, gdy nadeszła właśnie ta szkatułka! W ogólnem zamieszaniu zapomniałem o tem; lecz, że książę padł ofiarą strasznej zbrodni, najlepszym dowodem jest nieobecność jego w czasie wyznaczonym na ślub i ta ręka, która tylko do niego może należeć!

— Nie jest to jeszcze tak pewnem! — wtrącił szef. — Gdyby to była głowa, no, to co innego, lecz na świecie można znaleźć tysiące rąk podobnych do siebie, a jeżeli jeszcze włożymy na nią pierścień, to złudzenie jeszcze większe!

— Lecz książę nigdy nie rozstawał się z tym pierścieniem — rzekł, potrząsając głową baron. Słowa szefa nie sprawiły na nim żadnego skutku. On był przekonany, że żywym nie ujrzy już księcia więcej!

Szef dawał tymczasem rozkazy drugiemu z komisarzy.

Urzędnik oddalił się również, jak jego kolega, a mianowicie udał się wprost do willi księcia de Bligny.

Tymczasem szef prowadził w pałacu barona dalsze śledztwo, lecz mimo wszelkich starań, nie mógł znaleźć nic takiego, co by mogło wprowadzić, chociażby na najdrobniejszy ślad tej zbrodni.

Tymczasem zjawił się lekarz domowy barona, od którego szef się dowiedział, że stan baronówny jest bardzo groźny i o przesłuchaniu nawet mowy być nie może.

Ponieważ już tutaj nie można było wpaść na żaden trop zbrodni, zapakował szef martwą rękę, zamknął szkatułkę i oddał ją na dole w ręce komisarza.

Służbę przesłuchano prędko, bo ci ludzie nie mogli wiedzieć, co by choć cośkolwiek rozjaśnić mogło mu tę sprawę. Wprawdzie młody książę bywał dłuższy czas w domu barona, lecz ze służbą stykał się bardzo mało. Wszyscy oni przyznali, że książę szalenie kochał swą narzeczoną i że nigdy nie było między nimi żadnego nieporozumienia.

— Musimy teraz bez zwłoki udać się do willi księcia de Bligny — zdecydował szef policyi.

Baron de Brepont prosił, aby pozwolono mu się przyłączyć, na co otrzymał przychylną odpowiedź. Kazał przeto zająć powozu i zajął w nim miejsce wraz z merem i szefem policyi, podczas gdy reszta wsiadła do następnego powozu.

W willi księcia panowało w tej chwili nie mniejsze zamieszanie, niż u barona Brepont. Powodem jego był przed chwilą przybyły komisarz. Aż do tej chwili oczekiwał stary sługa Francois na młodą parę, która w powrocie z kościoła miała wstąpić wraz z gośćmi weselnymi do willi i stąd dopiero udać się do pałacu Brepont'a na weselną ucztę.

Część nowo przyjętej służby już nadeszła i stary miał dużo roboty, aby nowicyuszów zapoznać z ich obowiązkami.

Nagle zadzwoniono przy bramie ogrodu.

Francois wybiegł sam, albowiem siwowłosey starzec chciał pierwszy powitać młodą parę. Lecz jakżeż się zdziwił, zobaczywszy na ulicy jeden jedyny powóz, z którego wysiadł urzędnik policyjny.

Teraz zaczął ogarniać Francois'a niepokój.

— Proszę otworzyć — powiedział urzędnik. — Przychodzę w sprawie urzędowej i muszę się natychmiast widzieć z księciem de Bligny.

— Przychodzisz pan nie w porę, panie komisarzu. Mój pan pojechał do ślubu i oczekuję jego przybycia lada chwila.

— Więc księcia niema w domu?

— Nie, jak panu już miałem zaszczyt powiedzieć!

— Mimo tego muszę wejść do pałacu!

Francois zaczął być coraz niespokojniejszy, bo dziwny ton urzędnika dał mu wiele do myślenia.

— Czy pan chce rzeczywiście czekać na księcia? — zapytał, podczas gdy komisarz podążał za nim w stronę pałacu.

— Nie tak na niego, jak na mera — brzmiała krótka odpowiedź.

Francois zwrócił przerażony wzrok na komisarza i zapytał:

— Czy się nie stało, panie komisarzu, jakieś nieszczęście, którego ofiarą padł mój pan? Niech mi pan nie trzyma dłużej w tej strasznej niepewności!

Komisarz zwrócił badawcze spojrzenie na starca i powiedział tak zimno, jak przedtem:

— Rzeczywiście są poszlaki, że książę padł ofiarą zbrodni. Uspokój się, staruszk; nie mogę ci nic pewnego powiedzieć i muszę koniecznie czekać przybycia mera, który tu wkrótce przybędzie! Tymczasem nie może nikt, absolutnie nikt, opuścić pałacu. Proszę się o to postarać, gdyż w przeciwnym razie będę musiał sam przedsięwziąć odpowiednie środki.

Pod starcem zadrżały ze zgrozy kolana.

Nie wiedział sam, w jaki sposób znalazł się wraz z komisarzem w pałacu.

Przyszedłszy nieco do siebie, kazał Francois zamknąć bramę wjazdową.

Po niespełna pół godziny zabrzmiał na nowo dzwonek i nadjechała komisya. Baron de Brepont znajdował się między jej członkami i objaśnił wierne go sługę księcia o strasznym zajściu. Nadspodziewanie Francois zapanował nad sobą bardziej, aniżeli się spodziewano. Wprawdzie ścisnął pięść, wyrzucił przez zęby jakieś niezrozumiałe zdanie i kilka ciężkich łez stoczyło się po białych policzkach, lecz mimo to dawał jasne odpowiedzi na pytania mera.

Ten przeprowadził w pałacu możliwie dokładne dochodzenie. Lecz nowo przyjęta służba nie mogła więcej powiedzieć nad to, że pan wyjechał około godziny dziewiątej. Szef mógł teraz być przekonany o tajemniczym zniknięciu księcia. Chodziło teraz o okoliczności, poprzedzające bezpośrednio jego odjazd. Tylko jeden Francois mógł to wyjaśnić.

— O której godzinie kazał pan zająć powozowi po księcia? — zapytał mer.

— Punktualnie o pół do dziesiątej — brzmiała odpowiedź sługi.

— Mój pan ubierał się nadzwyczaj starannie i z tego powodu cośkolwiek się spóźnił. Chciał dlatego tem prędzej jechać, tak, by najpóźniej w dziesięciu minutach przybyć do domu narzeczonej.

— Co za stangret powoził?

Francois odpowiedział:

— Niestety, musiałem do tego użyć jednego z świeżo najętych ludzi, bo nasz długoletni stangret zachorował nagle w nocy i dlatego musiał książę powierzyć konie nowicyuszowi. Zresztą chłopak posiadał pochlebne świadectwa, nim go książę pan zgodził.

— Jak nazywał się ten człowiek?

— John Franklin, panie merze!

— Czy nie wie pan nic dokładniejszego o nowym stangrecie, a mianowicie, gdzie dotąd był w służbie i czy ma krewnych, albo znajomych?